

Wpisowe do Towarz. (jednorazowe) 4 korony

Wkładka roczna członka 10 koron = 10 marek = 5 rubli.

ŁOWIEC

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Adres i bliższe wskazówki — patrz okładka inseratowa „Łowca“.

SEWERYN KROGULSKI

Międzynarodowy kongres myśliwski w Wiedniu.

(Dokończenie).

Istotę łowiectwa ze stanowiska wyłącznie prawniczego, omawiało sześciu referentów i zgodnie orzekli, iż właśnie kwestja prawna w żadnej ustawie, obowiązującej kraje koronne monarchji austro-węgierskiej, nie jest pomyślnie dla łowiectwa rozwiązana, a przeważnie ma się rzecz wprost przeciwnie, gdyż ostrze paragrafów zwraca się nawet wręcz wrogo przeciwko łowiectwu.

Łatwo domyślić się, że te niedomagania przepisów rzeczonych ustaw mają swe źródło w trudności pogodzenia interesów wielkich i małych właścicieli polowań.

Demokratyczny duch czasu stara się zabezpieczyć wszystkim obywatelom jak największą sumę swobody i jak najdalej idącą wolność w kierunku obrony swoich interesów. Z drugiej strony zarówno racjonalne gospodarstwo rolne, jak lasowe lub łowieckie, na małych przestrzeniach, będących w ręku kilku lub kilkunastu posiadaczy, nietylko iż nieda się uprawiać, ale nawet pomyśleć. W ten sposób interesy posiadacza wielkiej i małej własności gruntów, krzyżują się ustawicznie i dla chcących znaleźć najwygodniejsze i najlepsze *modus vivendi* — tworzą niezmiernie twardy orzech do zgryzienia.

Bardzo charakterystyczne światło na trudność ujęcia łowiectwa w granicach prawa cywilnego, rzucają dwie rezolucje, zgłoszone przez Dr. Henryka Haerdtla, adwokata wiedeńskiego. Konkluduje on mianowicie, że:

1) prawo wykonywania polowania nie może być związane z prawem własności, natomiast ograniczenia prawa polowania na gruntach ku temu się nadających są usprawiedliwione, zarówno ze względów natury społeczno-politycznej, jakoteż dla dobra gospodarki łowieckiej.

2) prawo przywłaszczania zwierzyny na terenie łowieckim, przysługa jego właścicielowi z chwilą, w której zwierzyna znalazła się na tymże terenie.

O prawie karnem w ustawach łowieckich mówił Dr. Erwin Dolleisch, c. k. sędzia Najwyższego trybunału kasacyjnego.

W swojem przemówieniu zdąża on przedewszystkiem do wykazania ogromnej luki w ustawie karnej w jej stosowaniu do kłusownictwa. Z praktyki wiadomo dobrze, że kara jaką się kłusownikowi zazwyczaj wymierza, nie stoi w żadnym stosunku do jego właściwej winy i nie daje pokrzywdzonemu prawie żadnego zadośćuczynienia.

Kłusownik karany jest obecnie wyłącznie za kradzież, a wysokość tej kradzieży jest oceniana wedle wartości ubitej czy skradzionej zwierzyny. Ponieważ zaś »wartość« ta jest zazwyczaj bardzo mała (i w pojęciu prawnem nie może być większa), więc i stopień kary jest nizki. Każdy zaś myśliwy-hodowca wie doskonale, że szkoda rzeczywista, powstała z tej »kradzieży«, jest w istocie znacznie i to bardzo znacznie większa.

Dr. Dolleisch atakuje też całkiem otwarcie ustawę i kończy swój referat, następującemi rezolucjami:

1) Zbrodnie kłusownictwa (Wildfrevel) powinny być ujęte w osobny rozdział ustawy karnej;

2) ich pojęcie należy całkowicie oddzielić od pojęcia kradzieży;

3) w obrębie tego rozdziału należy stworzyć definicję kłusownictwa, któraby wyłączała przekroczenia ustawy łowieckiej, a orzekała o wszelkiem ograniczeniu w swobodzie zabijania i przywłaszczania zwierzyny;

4) należy przeprowadzić dokładną granicę pomiędzy wszystkiemi formami zbrodni kłusownictwa, a przedewszystkiem rozdzielić kłusownictwo płynące z namiętności, od tego, jakie powstaje z chęci zysku;

5) rozróżnianie to powinno posiadać bardzo szeroką skalę, mieszczącą w sobie wszelkie rodzaje, stopnie i następstwa zbrodni, powinno przewidywać stopniowanie kar wobec przewinień cięższych; w każdym razie należy zerwać z obecną, zbyt łagodną, procedurą.

6) karę pieniężną należy stosować w granicach bardzo szerokich, jako karę główną i dodatkową.

7) kłusownictwo należy uznać za zbrodnię, w którą państwo ma wkraczać z urzędu.

Uzupełnieniem i rozszerzeniem referatu Haerdtla, jest przemówienie Franciszka Zenkera, prezydenta Senatu trybunału administracyjnego.

Chce on mianowicie, aby z zasadniczem uznaniem nierozdzielności prawa wykonywania polowania od prawa własności gruntu, (zajmuje więc stanowisko biegunowo przeciwne od Haerdtlowskiego) — wprowadzono następujące normy:

1) wykonywanie prawa polowania, zarówno na zwierzynę stałą jak i przechodnią, służy: *A*) właścicielowi gruntu wynoszącego conajmniej 300 ha (w miarę niższości stopnia uprawy gruntu — wyżej);

B) spółce myśliwskiej, tworzącej towarzystwo, rozporządzającej terenem polowania, spełniającym warunki pod *A*), a nabytym drogą dzierżawy lub udziałów;

a) jeśli teren spółki nie odpowiada warunkom pod *A*) uważać go można i należy jako część terenu, z którym graniczy i można go wcielić do sąsiedniego;

b) drogi żelazne, publiczne, prywatne i rzeki, przerzynające kompleks gruntu, nie tworzą w nim przerwy;

c) wązkie zagony, powstałe z podziału szerokich dawniej parcel katastralnych, nie nadają się do tworzenia z nich terenów łowieckich;

d) grunty nie odpowiadające warunkom pod *A*), a okolone zewsząd terenami łowieckimi, mają być za odszkodowaniem i wydzierżawieniem oddane do użytku łowieckiego, wykonującemu polowanie;

e) każdy właściciel takiego gruntu jest uprawniony do żądania, aby grunt jego wcielono w teren łowiecki i przyznano mu należne wynagrodzenie, jeśli rzeczony grunt graniczy z terenem łowieckim przynajmniej w $^2/_3$ częściach swej rozciągłości;

f) wykonujący polowanie może żądać wcielenia takich gruntów za zamianę na inne, lub za odszkodowaniem pieniężnem także wówczas, jeśli graniczy w $^1/_2$ części swej rozciągłości z terenem łowieckim, — o ile taki proceder jest pożądany ze względu na dobro gospodarki łowieckiej.

Pomijając referaty innych mowców, mniej rzeczowe, podaję jeszcze streszczenie referatów Dr. Bruna Schwedera, profesora akademji lasowej w Mährisch-Weisskirchen i Otmara Reisera, kustosza muzeum przyrodniczego w Serajewie.

Pierwszy z nich domaga się:

1) Pomiędzy zawodowymi myśliwymi i leśniczymi należy krzewić wiadomości o sposobie wykonywania polowania, z szczególnem uwzględniem ochrony rzadszych okazów zwierzyny miejscowej (pomników natury), a to zapomocą szkół fachowych, specjalnych kursów, praktycznych studjów, książek, pism ulotnych, odnośnych notatek w pismach łowieckich, w leśniczowskich i myśliwskich kalendarzach etc.

2) W szkołach pospolitych, ludowych, średnich i wyższych, należy uwzględnić wiadomości łowieckie w stopniu na jaki zasługują i upowszechnić zrozumienie obowiązku przechowania skarbów natury jako dobra publicznego.

3) Wprowadzić należy odpowiednią klauzulę w egzaminach fachowych i uzależnić od niej wydanie świadectwa, certyfikatu czy karty łowieckiej.

4) W uwzględnieniu doniosłego znaczenia tych postulatów dla podniesienia poziomu zawodowego wykształcenia myśliwskiego, uznać należy za konieczne założenie instytucji naukowej w myśl wywodów prof. Röriga.

5) Urządzać ostoje dla zwierzyny rzadszej, nietylko w drodze prywatnej, ale i ustawowej, oraz sprowadzać, aklimatyzować i hodować zwierzynę szczególniej cenną lub osobliwego gatunku.

Reiser zajmuje się wyłącznie sprawą zbytniego tępienia orłów. Te ich gatunki, które szkodę w zwierzynie wyrządzać mogą, a więc orzeł przedni i birkut bielik, są u nas tak rzadkie, że nie mogą wchodzić w rachubę. Inne odmiany orła są albo zupełnie, albo w bardzo małym stopniu szkodliwe, ze względu zaś na to, że są wspaniałem upiększeniem przyrody, powinny być chronione. Reiser powołuje się też na głosy najwybitniejszych ornitologów, stwierdzających, iż tępienie tego wspaniałego ptaka niema żadnej racjonalnej podstawy. Celem położenia tamy bezcelowemu prześladowaniu — pragnie:

1) Znieść wszelkie premje za ubicie orła;

2) słowem i pismem wykorzeniać przekonanie, jakoby zabicie orła szczególniejszą było zasługą;

3) chronić ustawowo gniazda i pisklęta orłów;

4) ostrożność w podawaniu trucizn, od których wiele tych królewskich ptaków ginie;

5) w okolicach, w których pojawiają się sępy, zastosować jeszcze ściślej te same postanowienia.

Wszystkie rezolucje powyższe podane zostały ostatniego dnia obrad przez przewodniczących sekcji, do wiadomości prezydjum i ogółu uczestników kongresu. Przyjęto je *en bloc* i uchwalono, aby delegaci państw, na kongresie reprezentowanych, postarali się u swych rządów o wprowadzenie tych postulatów w życie, przez kodyfikację dotyczących ustaw.

Czuwać ma nad tem stała »Komisja kongresów łowieckich«, do której z Galicji wybrani zostali Stanisław hr. Stadnicki, jako prezes Gal. Towarzystwa łowieckiego, tudzież pp. Jan hr. Szeptycki i Zdzisław hr. Tarnowski.

Jest więc uzasadniona nadzieja, że akcja, podjęta przez kongres wiedeński, wyda na niwie łowieckiej plon obfity i tak bardzo pożądany. Ale dowiemy się o tem dopiero za 2 lata, gdyż ten termin oznaczono na zwołanie następnego kongresu.

Znamienną cechą tego, iż obecnie obowiązujące ustawy łowieckie, za dużo posiadają domieszki polityczno-kompromisowej natury, dla łowiectwa szkodliwej, jest, iż do uchylenia tych wadliwości przystąpili w kongresie ministrowie i szefowie sekcji, którzy pod naciskiem prądów polityki partyjnej, ustawy te sami do sankcji przedkładali.

Na tem zamykam sprawozdanie treści ściśle przedmiotowej.

Godzi się jednak podnieść tu także z wielkiem uznaniem, ogromne zasługi Komitetu organizacyjnego. Podziwu i naśladowania godną była jego energja, oraz praktyczny i wszystko przewidujący sposób wzięcia się do rzeczy i przeprowadzenia jej do pomyślnego skutku.

Miał też kongres ten poza użyteczną i nadobną stronę, o czem, choćby z racji kronikarskiej ścisłości nadmienić trzeba, a swoją drogą i warto.

Przedewszystkiem utkwił mi w pamięci moment zebrania się wszystkich uczestników kongresu w przededniu obrad, w przepysznej auli wiedeńskiego uniwersytetu. Mianowicie, gdy po mowach powitalnych, wygłoszonych przez ks. Karola Kinsky'ego, Poppa i Dr. Neumayera, rozgwarzyły się naraz zebrane tu narody kilkudziesięciu państw — nastąpiło takie pomieszanie języków, że powstał stąd istny Babel. Miało się też przed sobą niezwykły, pełen kontrastów obraz dla oka, wytworzony obliczami żółtej rasy Chińczyków, Japończyków, a poza tem typy Meksykańczyków, Paragwajczyków etc. i kakofonję językową dla ucha, jak rzadko gdzie i kiedy, a nie każdemu słyszeć się zdarza.

Następnego dnia po obradach przedpoł. odbył się objad, dany przez Komitet organizacyjny, w restauracji »Volksgartenu«. Brała w nim udział też i płeć piękna — amazonki sfery wykwintnej. Przy akompaniamencie pięknych fanfar myśliwskich, odtrąbionych przez waltornistów Opery nadwornej — utwory Richtera, Wagnera, Stieglera i Schantla — sypały się toasty poważnej i humorystycznej treści, grzmiały echa strzałów korkowych, jakby palba rusznic w pełnej zwierza kniei. Krótko mówiąc, bawiono się z humorem myśliwskim.

Wieczorem tegoż dnia odbyło się przyjęcie u Dworu, w przewspaniałych apartamentach cesarskiego Burgu. Zaproszonych było paręset osób, wśród których spora liczba Polaków. Pań nie było.

Cesarza, którego przyjazd z Ischlu uległ niespodzianie odroczeniu do dnia następnego — zastępował arcyksiążę Leopold Salvator, który jako myśliwy z krwi i kości — jak zresztą wszyscy członkowie autrjackiego Domu — darząc każdego po koleji w *Cercle* zapytaniem — poruszał jedynie temat dnia tego aktualny — łowiectwo!

Dużo pochwał przy tej okazji dostało się niedźwiedziom, jeleniom, dzikom, rysiom i rogaczom kniej galicyjskich, a w szczególności trofeom, zdobytym przez tegoż arcyksięcia w sierpniu b. r. w Miżyńcu, u ks. Marji Lubomirskiej. Do oryginalności zaliczam to, że po raz pierwszy może w salonach Burgu, widniał wśród najwyższych dekoracji na umundurowanych piersiach i u klap frakowych, nowy order... odznaka członków kongresu. Skromna to dekoracja, ale myśliwemu miła.

Drugiego dnia obrad podejmowało kongresowców — i to nader *honeste* — miasto Wiedeń. Gigantycznych rozmiarów sala gotyckiego stylu — pomieściła przy sześciu stołach, długości ulicy (93 m.) przeszło 850 osób, obojga płci. A było to przyjęcie niezwykle gościnne i o formie bardzo wykwintnej. Działalność i dążenia kongresu spotkały się w przemówieniu burmistrza z wielkiem uznaniem. Zrozumiano tu i oceniono wartość łowiectwa praktycznie, a nie jak u nas, lekceważąco. Na pamiątkę dnia tego obdarzono brzydką połowę ludzkiego rodu ilustrowanem wydaniem jubileuszowem p. t. »Cesarz F. J. I. jako myśliwy«, oraz etui, pełnem cygar hawańskich i egipskich papierosów. Płeć piękna otrzymała pomienioną książkę i bukiety.

Prawdziwą jednak biesiadą dla duszy myśliwskiej była wycieczka do rewirów cesarskich w Lainz. Odbyła się ona po południu, w dniu zamknięcia kongresu, kosztem Dworu, w 100 powozów. Kierował nią sam łowczy koronny ekscel. hr. Thun-Hohenstein z górną uprzejmością.

I tu dopiero, na widok wspaniałej kniei, pełnej jarów, potoków, polan i połonin, wobec piękna boskiej przyrody, utwierdził się każdy myśliwy i przyrodnik, po raz tysiączny w duszy, że poza tem: wszystko jest marnością świata!...

Stan zwierzyny — po dokonaniu ostatniego odstrzału — na obszarze 2.576 ha, wynosił dnia tego ogółem 975 sztuk wyłącznie zwierza grubego — zajęcy tu niema — a mianowicie: 375 jeleni, 170 danieli, 15 jeleni wirginijskich, 88 muflonów, 370 dzików, a tylko 17 sarn. Odstrzał roczny wynosi 795 sztuk.

Rozkosz było patrzeć jak to wszystko bez mała pasło się, żerowało lub buchtowało na otwartych haliznach leśnych.

Widoki to — w duszy myśliwego — niczem nie zatarte!



W sprawie zamierzonej zmiany statutu gal. Towarzystwa łowieckiego.

Dziwne losy przechodzi projekt Dra Sandera dotyczący zmiany statutu!

Walne zgromadzenie Towarzystwa poleciło, na wniosek Dra Sandera, uchwałą z dnia 4. czerwca 1909 wydziałowi, aby na najbliższych swych posiedzeniach zastanowił się nad potrzebą reorganizacji Towarzystwa i wynik swych

badań przedłożył nadzwyczajnemu walnem uzgromadzeniu, najdalej do jesieni 1910 r.

Wskutek tego polecenia wybiera Wydział w dniu 10. września 1909 komitet, celem przygotowania sprawy na walne zgromadzenie, w dniu 19. grudnia 1909 przeprowadza nad projektem statutu dyskusję, w numerze noworocznym 1910 zapowiada, że koniecznem jest usunąć pewne braki ustroju towarzystwa i przeprowadzić reorganizację zastosowaną do nowych warunków, chcąc zrównoważyć zgubne skutki nowej ustawy łowieckiej; na walne zgromadzenie w dniu 28. maja b. r. przychodzi jednak z wnioskiem odroczenia sprawy.

Motywy, które wymienił Wydział w numerze noworocznym jako takie, które przemawiają za szybką reorganizacją towarzystwa, wymienia tenże Wydział we wnioskach na walne zgromadzenie, jako przemawiające za odroczeniem reorganizacji.

Tam niekorzystne dla łowiectwa postanowienia nowej ustawy łowieckiej potrzebną czyniły reorganizację, tu uważa wydział za wskazane przeczekać, aż doświadczania praktyczne przy zastósowaniu nowej ustawy wskażą najlepsze drogi i najwłaściwsze środki, jakkolwiek przez usta referenta stwierdza pożyteczną i zdrową myśl zawartą we wnioskach Dra. Sandera i uznaje, że wobec ciągłego niedomagania powiatowych delegatur, zachodzi konieczna potrzeba zreformowania powiatowych reprezentacji.

Można godzić się na projekt Dra Sandera lub nie godzić, nie można jednak rozwiązania wątpliwości pod tym względem szukać w praktycznem zostosowaniu ustawy łowieckiej, gdyż ona go nie da, a jeśli okoliczność, że w życie weszła nowa ustawa łowiecka, mogłaby w sprawie tej na szali zaważyć, to chyba w tym kierunku jaki podniósł wydział w noworocznym numerze »Łowca«, a mianowicie, że potrzebną jest zmiana statutu po myśli wniosku Dra Sandera, aby osłabić skutki postanowień ustawy dla łowiectwa niekorzystnych. Wskutek uchwały walnego zgromadzenia, polecającej kategorycznie przedłożenie projektu nowego statutu, sprawa wraca znów do wydziału.

Sprawa uchwalenia nowego statutu doznała w ten sposób jednorocznej zwłoki.

Z powodu tej zwłoki nikt zresztą wydziałowi czynić nie będzie zarzutów, choćby dlatego, że zwłoka ta ma tę dobrą stronę, że daje możność szczegółowego przedyskutowania sprawy, albowiem paulatim summa petuntur.

Z zaproszenia do dyskusji zrobiło, jak dotąd, zbyt mało członków użytek.

By przerwać milczenie kreślę moje zapatrywanie na sprawę.

Przedewszystkiem podnoszę, że już obecnie obowiązujący statut zawiera postanowienie w §. 16., że stowarzyszenie myśliwskie, zorganizowane na podstawie statutu i w sposób dla interesów krajowego łowiectwa korzystny, może Wydział galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego uznać za swój organ powiatowy i jako takiemu przekazać prawa i obowiązki delegata na dotyczący powiat.

Gdyby instytucja delegatów należycie była fungowała, przypuszczam, iż nie byłoby już w kraju powiatu, w którymby nie powstało było dotąd, właśnie za sprawą delegatów, stowarzyszenie, o którem mówi §. 16. statutu. W ten sposób siłą faktu instytucję delegatów zastąpiłyby były łowieckie towarzystwa powiatowe.

Przytoczony przepis nie wszedł, o ile wiem, w praktyczne zastósowanie, a przynajmniej fakt powstania towarzystwa o prawach delegatur gal. Towarzystwa myśliwskiego, nie jest mi znanym.

Widocznie u pp. delegatów Towarzystwa panuje zapatrywanie, iż działalność delegatur jest skuteczniejszą, niżby nią była działalność towarzystw łowieckich powiatowych.

Tak jednak nie jest.

Wszak już grono delegatów towarzystwa przez to, że się zorganizuje, stanowić może powiatowe towarzystwo łowieckie, względnie, jak opiewa wniosek Dra Sandera, oddział towarzystwa.

Czy wyższość delegatur na tem polega, że delegaci pracują niezorganizowani?

Właśnie ten brak organizacji powoduje, że wynik pracy delegatów jest niedostateczny.

Wprawdzie autor korespondencji na ten temat, w Nr. 16 »Łowca«, twierdzi, że jest wiele powiatów, w których delegaci od dawna już systematycznie skutecznie działają i nie małe już zasługi położyli dla łowiectwa krajowego uporządkowaniem stosunków we własnych powiatach i stałą pieczą o to, aby się już nie pogorszyły, przeczą temu jednak sprawozdania z posiedzeń wydziału i walnych zgromadzeń Towarzystwa, a wreszcie same sprawozdania delegatów.

Wedle projektu Dra Sandera rzeczą oddziałów Towarzystwa, które zastąpić mają instytucje delegatów, jest między innemi: czynne podniesienie stosunków łowieckich w powiecie przez urządzanie zjazdów, odczytów i pogadanek, utrzymanie łączności między członkami oddziału i staranie się o obudzenie w nich upodobań prawdziwych łowców i hodowców zwierzyny.

O ile delegaci nie zorganizują się w towarzystwa, przeczę, aby powyższe obowiązki mogli wykonywać.

Obecnie mianowani bywają delegatami celniejsi myśliwi w powiecie, przeważnie właściciele samoistnych okręgów polowania.

Wprawdzie jest to nader pożyteczne, że delegat prowadzi u siebie wzorowe gospodarstwo myśliwskie, że od czasu do czasu prześle sprawozdanie do Wydziału Towarzystwa, lecz działalność ta, ze względu na cele Towarzystwa, jest niedostateczną.

Towarzystwu jako takiemu zależeć musi na tem, aby o ile można wszystkich myśliwych w kraju obznajomić z celami Towarzystwa i cele te niejako im przyswoić.

Jedynym wedle mej wiedzy krokiem w tym kierunku był zapowiedziany przez grono delegatów łowieckich powiatu Sokalskiego powiatowy zjazd myśliwych i hodowców zwierzyny (porównaj korespondencję w Nr. 3. »Łowca« z r. 1909), należy jednak skonstatować, że zjazd wprawdzie zapowiedziano, lecz go dotąd nie zwołano.

Nominacja delegatów nie może w żadnym wypadku zastąpić wyboru wydziału powiatowego przez myśliwych powiatu.

Tylko myśliwym w powiecie znane są dostatecznie osoby, które kwalifikowałyby się do organizacji myśliwych, szerzenia wiadomości z działu myśliwstwa, popularyzowania celów łowiectwa w szerszych kołach i t. p.

Delegatowi mianowanemu, jakkolwiek jest dobrym myśliwym i hodowcą zwierzyny, może zbywać na powyższych cechach, a choćby nie zbywało, dla braku organizacji nie czuje się on do szerszej działalności zobowiązanym.

Sprawa więc przedstawia się całkiem jasno na korzyść powiatowych towarzystw i trudno pojąć, jakiemi obawami kierują się zwolennicy obecnych delegatur.

Towarzystwo, zmieniając organizację, w żadnym kierunku na szkodę narazić się nie może,

Ze względu, iż cel Towarzystwa pozostaje niezmienionym, uważać należy za wykluczone, aby który z członków, z powodu zmiany organizacji, z Towarzystwa wystąpił, natomiast liczne dane przemawiają za tem, że ilość członków znacznie się powiększy.

Wykazano już, że pewniejszą drogą prowadzącą do celu statutowego towarzystwa, jakiem jest podniesienie łowiectwa i podniesienie zwierzyny w kraju, jest powołanie do życia towarzystw powiatowych, niż zatrzymanie delegatur.

O cóż więc właściwie rozchodzić się może przeciwnikom wprowadzenia towarzystw myśliwskich powiatowych?

Pozostają chyba względy na osoby mianowanych delegatów.

Akcja za towarzystwami nie jest bynajmniej akcją przeciw delegatom, lecz akcją celem zorganizowania delegatów, a wątpię, czy należy uważać wybór do wydziału towarzystwa powiatowego za mniejszy zaszczyt, niż nominację delegatem.

W szczegóły projektu nie myślę się zapuszczać, gdyż są one mniejszej wagi.

Gdy, w razie przyjęcia projektu statutu, Towarzystwo łowieckie stanowią oddziały Towarzystwa, wykluczoną jest ewentualność należenia do Towarzystwa, a nie należenia do żadnego z oddziałów w kraju i pod tym względem nieusprawiedliwione wydają się być zarzuty podniesione w Nr. 15. »Łowca«.

Nazwę oddziałów okręgowych ze statutu wykreśliłbym, albowiem oddziały, które projekt nazywa okręgowymi, bardzo dobrze nazywać się mogą także powiatowymi.

Również wykreśliłbym §. 40. projektu, zawierający postanowienia o kontrolach, albowiem sposób, w jaki oddziały wykonywać będą swą działalność, można pozostawić uznaniu ich wydziałów.

Liczba członków wydziału oznaczona w §. 33. jest istotnie za wysoką.

Wystarczającą mi się wydaje, oprócz prezesa i zastępcy, liczba 3 członków wydziału i jednego zastępcy.

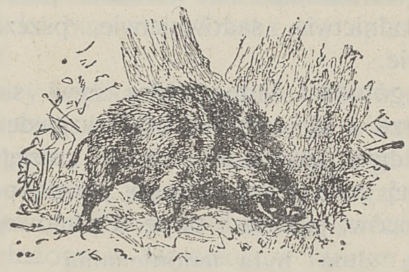
Konsekwentnie odpadłby 2 ustęp §. 34., a powinnoby także odpaść postanowienie co do wyboru zastępców sekretarza i skarbnika.

Ilość posiedzeń wydziału oznaczona w §. 36. jest za wielką; 4 posiedzenia rocznie są dostateczne.

Zresztą możnaby zastrzedz oddziałowi prawo zmiany postanowień statutowych objętych §. 33. do 36. w drodze regulaminu przez walne zgromadzenie oddziału uchwalić się mającego, lub objąć statutem zasadę, że przepisy §. 33. do 36. mają tak długo moc obowiązującą, dopóki walne zgromadzenie oddziału, w drodze regulaminu, odnośnie do kwestji objętych §. 33. do 36. i innych, nie wyda postanowień.

Wreszcie sądziłbym, że statut powinien objąć postanowienie przejściowe tej treści, że po zatwierdzeniu statutu zwołanem ma zostać przez dotychczasowy wydział walne zgromadzenie członków Towarzystwa celem dokonania wyboru wydziału centralnego wedle nowego statutu, dalej, że wydział centralny oznaczy osoby, które w powiatach zająć się mają zwołaniem walnych zgromadzeń członków w powiecie zamieszkałych, celem wyboru wydziałów oddziałów powiatowych.

Dr. W.



JAN MARCINKÓW.

Ze złomkiem jedliny.

W numerze 18. »Łowca« z dnia 16. września b. r., nosi pierwszy tytułowy artykulik nagłówek »Po złomek jedliny«.

Jak cudnie przetłumaczony na rodzimy termin łowiecki niemiecki wyraz »Waidmannsbruch«! W tych skromnych trzech słówkach ile to mieści się czaru, ile uroku, ile wspomnień, a ile nadziei dla myśliwego!

I któż potrafi tak uroczo, tak malowniczo, z pełnią prawdziwej poezji myśliwskich uczuć, wynurzyć na papier swe myśli, jak nie prawdziwy, dzielny a szlachetny myśliwy.

Niekażdemu pegaz wtrącić łaskaw tego polotu pióro do ręki — to tylko dane wybrańcom z łaski Bożej.

Kto już raz poznał czar potężnych pieśni króla uroczych Karpat, — kto się raz nasycał urokiem przejrzystych dni jesiennych, jakby baśni na toni niczem niezmącanej ciszy, daleko od gwarów miasta i naszych codziennych trosk, w tej prawdziwej świątyni przyrody — jaki nam dają pierwobory niebotycznych Karpat, tego z pewnością ogarnia pewnego rodzaju tęsknota w czasie rykowisk, — i nieprzezwyciężonym magnesem ciągnie go do gór, »po złomek jedliny«!

Nietylko nas przeciętnych śmiertelników ciągnie ów czar do siebie, ale i najwyższych dostojników, którym prawie cały świat i z nim wszelkie rozkosze stoją otworem, — zapominają o wszystkiem — zapominają o swoich dostojeństwach, i ciągną tam do gór, po »złomek« jedliny po ten złomek, z którym wiążą się wspomnienia tylu chwil szczęśliwych, — które tak gorąco — szlachetnem swem sercem odczuwa i opiewa nasz czcigodny autor i — każdy dzielny, szlachetny myśliwy.

Otóż po myśli autora niechaj też i ja podzielę się z szanownymi czytelnikami tym złomkiem jedliny, jakkolwiek nie własnym — ale uszczkniętym przez Arcyksięcia Leopolda Salwatora i jego świtę.

Nim po krótce skreślę przebieg łowów tegorocznych, pozwolę sobie napomknąć niektóre ważniejsze szczegóły z charakterystyki tegorocznych rykowisk.

Gdy bliżej obserwujemy przyrodę, a przytem prowadzimy dokładne notatki meteorologiczne i notujemy poszczególne spostrzeżenia co do ogólnej charakterystyki pór roku, to spostrzegamy, że każdy rok stanowi dla siebie zupełnie odrębną charakterystykę, a nawet powiedziałbym, że jak dziś w świecie prawie niemożliwem jest spotkać człowieka, do drugiego zupełnie podobnego, co do wyglądu, jakoteż do usposobienia, — tak też i każdy rok

jest dla siebie zupełnie odrębnym osobnikiem, który prawie nigdy drugi raz się nie powtarza.

I podobnie jak człowiek jeden do drugiego jest o tyle podobny, że ma głowę, ręce, nogi t. d. tak też i rok ma wiosnę lato i zimę, ale jakież one są różne.

Różnice te odbijają się wszędzie prawie, tak w rolnictwie, ogrodnictwie, sadownictwie, pszczelnictwie, jak i w łowiectwie.

W szczególności fauna, która żywi się florą, idzie prawie w parze z tą ostatnią pod względem swego rozwoju w każdym kierunku, — a w szczególności działa też w znacznej mierze na naszego jelenia pod względem rozrostu wieńców, jakoteż i popędu płciowego.

Przeszła zima była fenomenalną — i nie wiem, czy najdawniejsze kroniki potrafią nam o podobnej zimie coś wspomnieć.

Zeszłoroczna zima była jak na stosunki górskie prawie bezśnieżną, — tak że jelenie żywiły się wyłącznie zieloną ożyną i pędami malin w lesie.

Jelenie każdego roku zimową porą żerują po zrębach gdzie więcej jest ożyn, w miesiącu lutym i marcu, gdy w Karpatach największe śniegi spadają, zesuwają się jelenie coraz to niżej ze szczytów, a w drugiej połowie lutego i marca są już formalną plagą dla siana, które górale pozostawiają na swych łąkach leśnych i połoninach, niszcząc je niemiłosiernie; a nie tak go zżerają jak rozbijają — wybierają co lepsze, a resztę depczą badylami i zanieczyszczają odchodami — tak, że bydło domowe tego siana już więcej nie tknie.

W tym jednak roku w tutejszej okolicy karpackiej nie było nigdzie ani jednego wypadku, aby jelenie siano naruszyły — albowiem podostatkiem mogły znaleźć żeru w lesie, wskutek małego śniegu.

W nawalne zimy często spotykam jelenie żerujące i poszukujące za ożyną, formalnie zagrzebane w śniegu tak, że zaledwie małą część z grzbietu można było spostrzedz. Po tak więc pomyślnej zimie, jelenie przyszły wczas do rozwoju płciowego, który w tym roku znacznie wcześniej nastąpił.

Rykowiska więc rozpoczęły się już około 5 lub 8 września, tak, że około 15. września osiągnęły punkt kulminacyjny — około 22 ustały były prawie zupełnie.

Natura jednakowoż mści się na ekstrawagancjach podobnego rodzaju — i co się dzieje? — Jelenie przypominają sobie, że to coś niewłaściwego musiało się stać — odczuwają napowrót swój normalny tryb życia i rozpoczynają na nowo swoje pienia, tak jakby chciały skreślić poprzednie mylnie zaczęte pieśni — bo to były fałszywe i zawczesne.

Przeto około 28. września zaczęły jelenie ryczeć ponownie i to tak doskonale, jakby poprzednio wcale nie ryczały; — naturalnie, że to rykowisko nie trwało już tak długo jak zwykle trwa, jednakowoż ryczały dość dobrze, ale nie we wszystkich miejscach — więcej sporadycznie.

To ponowne rykowisko trwało do 6. października, w którym to dniu osiągnęło punkt kulminacyjny, bo w jednej kotlinie, w »Tatowym«, od Wełdzirskiej granicy, ryczały jelenie prawie bez przerwy od 7-mej rano do 3-ciej po południu — 7. października już tylko tu i ówdzie pomrukiwały, aż wreszcie w dniu 8. października nastała w lesie wszędzie już cisza grobowa.

Bądź co bądź tegoroczne rykowisko jest fenomenalnym objawem — który w przeciągu mej dotychczasowej 18-letniej lokalnej praktyki w rewirach Mizuńskich, po raz pierwszy zauważyłem.

Najdostojniejszy Arcyksiążę Leopold Salwator, który od 15 lat dzierżawi polowanie w latach skarbowych okręgu gospodarczego Mizuń, a od 3 lat w Hryniowie, wskutek swojego wysokiego stanowiska militarnego jako inspektor artylerji — a przytem wobec odbywających się zwykle jesienną porą manewrów cesarskich, w których zawsze udział bierze, zajęty zresztą często innemi sprawami z wysoką swą godnością w związku będącemi, nie zawsze ma możność przybycia na łowy w najodpowiedniejszej porze rykowisk. W tym roku wyjechał 20. września do Hryniowy. Tam, o ile mnie poinformowano, jest mniej jeleni, jednakowoż wieńce tych jeleni są nadzwyczaj grube, a przytem znacznej wagi. Tam polował dostojny gość do 30. września, jednakowoż z niepomyślnym rezultatem i przybył 2. października do Mizunia, względnie Sołotwiny mizuńskiej — gdzie już od 28. września oczekiwali na niego król. Wysokość książę August Leopold Sasko Koburski, książę Lobkovic, baron Nahorny, starszy sztabowy lekarz Dr. Cervicek i Dr. Kappsamer z Wiednia. W rejonie rewiru Nowego Mizunia zaś polowało dwóch gości arcyksięcia: Dr. Beckmann, starosta z Usingen w Hessen-Nassau i brat tegoż, właściciel dóbr ziemskich z Eckirförde w Schleswigholstein.

Aura była słotą przeplatana; w przeciągu 10 dni łownych było 4 dni jasne, 3 dni pochmurne i 3 dni dżdżyste — i jak powyż wspomniałem jelenie sporadycznie ryczały dobrze, licho lub wcale nic, — w szczególności w dni dżdżyste, — a 8. października ustały kompletnie. Przyjazd dostojnych panów przypadł naturalnie już na powtórne rykowisko, kiedy przeważnie już słabsze jelenie ryczą, mimo to padło 9 jeleni kapitalnych, — a to 2 czternastki, 5 dwunastaków i jeden silny dziesiątak o koronie z trzema odnogami. (Kronenzehner).

Z pomiędzy powyższych wieńców odznaczały się kolosalną grubością rogi 14-ka, ubitego przez księcia Sasko Koburskiego, dochodzące wagi prawie 9 kilogramów.

Słabszych dwunastaków i dzisiątaków wcale niestrzelano, — a rezultat łowów byłby z pewnością znacznie pomyślniejszy, gdyby dostojni goście byli wcześniej przybyli — a powtóre gdyby nie silne mgły, które każdego poranka panowały i formalnie uniemożliwiały spostrzeżenie jelenia, nawet w odległości 50-ciu kroków.

W trakcie polowania zaszedł też i jeden niemiły wypadek; mianowicie jeden z gości myśliwych, właściciel dóbr ziemskich H. Beckmann, przyjechał już silnie zakatarzony, a zaziębiwszy się silniej w dni słotne zachorował na zapalenie opłucnej — i był zmuszony wyjechać do sanatorjum do Lwowa, gdzie po kilku dniach zmarł.

Wprawdzie to nienależy do sprawozdania myśliwskiego, ale niechaj posłuży jako przestroga dla innych myśliwych — by nie hazardowali zdrowiem — a puszczając się w dalekia puszcze leśne — zdala od sił lekarskich i miasta — więcej na siebie uważali. — Raczej zrezygnować ze złomka jedliny, niżeli tę rozkosz i przyjemność przypłacić życiem.

Dostojni goście odjechali z powrotem do Wiednia w dniu 9. października, żegnając się »do widzenia w przyszłym roku«.

Z tegorocznych rykowisk.

Już miesiąc przeszło minął, jak powróciłem z rykowiska, a ciągle jeszcze mam w uszach cudną melodję tego króla gór naszych. Cały rok cieszyłem się myślą pobytu w pięknych górskich lasach, gdy jesień ozłoci je, gdy wszystko kąpie się w rannych rosach, gdy wieczorem księżyc w każdej kropli rosy się odbija. Gdy wieczór nadejdzie i bór zaszumi i trawy zaszumią, a gdy zdala odezwie się ryk basowy, zdaje się, żeś przeniosion w jakiś świat inny, fantasyczny, żeś we śnie, w zachwyceniu.

Cudna ta nasza jesień, ta czarodziejka barw i kolorów, a w pełni ona była w tym roku, gdym 21. września przybył w góry. Buki w złotawo purpurowych odzieniach, świerki i jodły ubrane w szmaragdy, a nad wszystkiem w górze błękit nieba. Raporty straży donosiły, że jelenie zaczęły ryczeć bardzo wcześnie i przez pierwsze dni ryczały dobrze, obecnie słabiej z powodu ciepła. Prym w koncercie wodził byk na zrębie, Nr. 18, widziany kilka razy wraz z łaniami na zrębie rano. Jemu więc postanowiłem poświęcić specjalnie czas i trudy. Na drugi dzień — ranek zastał mnie pod zrębem. W nocy zaczął deszcz padać i ciepły wiaterek od południa nie rokował dnia tego pomyślnych widoków. Ciemno było jeszcze, gdym usłyszał ryk basowy w jedlinie pod zrębem. To on będzie! To ten, któremu muszę poświęcić całą swoją uwagę i energję. Lecz i jemu ciepły deszczyk nie podobał się, gdyż odezwawszy się raz, drugi, coprędzej drapnął w gąszcze ze swoim haremem, by dzień tam cały wesoło spędzić. Nawet i dobrze zrobił, bom mógł dzień pierwszy poświęcić specjalnie tylko na otropienie całego godnego tego towarzystwa i na ułożeniu sobie stałego planu. A plan ten polegał na tem, by dopóki jeleń odzywać się będzie na zrębie, starać się go podejść z jednej strony ciemnym, wysokim, jodłowym lasem, lub też, zależnie od wiatru, z drugiej stony od gąszczów jodłowo-świerkowych. Gdy zaś schowa się w ulubione swoje gąszczyki, zabiedz mu drogę z drugiej strony owych gąszczyków, niewielkich przestrzenią, i, usadowiwszy się na czatowni pod wysoką buczyną, oczekiwać przejścia jego na przesmyku.

Wieczór nic mi nie przyniósł, pogoda się zmienia na lepsze, chłód przyleciał z lekkim wietrzykiem od gór, wypogodziło się i słychać zdala jelenie — te głosy pełne powagi, które każdego myśliwego drzeniem przejmują. Późno też wróciłem do myśliwskiego domku — zadumany, rozmarzony.

Ranek 23. 9. mroźny, cichy. Jelenie wokoło ryczą, a i mój znajomy odezwał się kilkakrotnie na zrębie Nr. 18. Nie tracąc czasu i zbadawszy kierunek wiatru, zacząłem ku niemu się posuwać od strony buczyny i gąszczyków. Coraz bliżej podchodzę, jeleń w pełni jeszcze księżyca zaczyna całą piersią swój koncert. Stoi blizko gdzieś na zrębie, koło potoka pod gąszczami. Mgła, podnosząca się z Czornego, przysłoniła zrąb na chwilę. Ciemno jeszcze, lecz od wschodu niebo już jaśnieje, wszystko zaczyna przybierać barwy fioletu; wypatruję przez binokle, nic nie widać, tylko stare zwały i wywroty nad potokiem przybrały fantastyczne kształty i na jakieś apokaliptyczne bestje wyglądają. A jeleń ryczy coraz lepiej, bez przestanku, a zdala odzywa się drugi, widocznie słabszy, bo nawet nie śmie się zbliżyć w te strony.

Coraz jaśniej, ale i mgła nielitościwa coraz gęściej kładzie się w dolinie. Parę akordów silnych, pełną piersią wyrzuconych, jakby na przywitanie wschodzącego słońca, którego rąbek złotej tarczy nad lasami i wzgórzami począł się ukazywać i nagle cisza!! To było ostatnie wyzwanie. Żaden śmiałek nie odważył się przybyć, więc może spokojnie król lasów zejść ze zrębu. Odezwał się teraz cichym pomrukiem niedaleko mnie. Widocznie idzie swoim ulubionym wchodem ku buczynie. Trzeba się spieszyć, by mu drogę przeciąć.

Postąpiwszy ścieżką kilkanaście kroków słyszę blizko trzask i znów pomruk. Zmienił projekt widać i zbliża się ku mnie, wiatr dobry, trzeba czekać. Słyszę go dobrze, o 50 kroków może odemnie, jak rogami bije po gałęziach i cicho mruczy. Jeszcze chwila, a wyjdzie na ścieżkę, na której jestem. Stoję złożony w kierunku, w którym spodziewam się go ujrzeć. Trwa to wieki, słyszę bicie własnego serca, ręka ze znużenia drga, a jego nie widać. Nareszcie słyszę trzask zwolna oddalającego się jelenia. Może mnie poczuł, lub też rozmyślił się i na swoją prawdziwą drogę zawrócił. Cicho odchodzę, następnie biegnę ku buczynie, ale będąc już pewny, że się spóźnię. Tak i było! Przeszedł pod samą czatownią. Widział go zdala leśny. Stracony znów ranek, lecz dostać go muszę. Nie reaguję zupełnie na napomnienie straży leśnej, że jeden byk doskonale ryczy pod kamerą, a drugi w Roztokach, i że łatwiej mi przyjdzie dostać którego z nich; zostawiam te rewiry dla gości, których się tymi dniami spodziewam. Wracam do domu i zastaję telegram, że gość, którego się spodziewam, opóźnia swój przyjazd o dni parę. Szkoda, bo gotów najlepszy czas stracić i pecha swego nie przełamać, który go w zeszłym roku w tej kniei prześladował.

Wieczorem, już o godzinie 4., siedziałem na czatowni pod zrębem Nr. 18, mając za sobą ciemny las wysoki, a w nim ścieżkę do domu.

Ściemnia się. Daleko pod błękitami płynął klucz żórawi, żałośnie żegnając drogę swą ku południowi. Odezwał się puszczyk, a jak echo odpowiedział mu drugi, trzeci. Frunęła słonka i cicho, jak motyl zakreślając wdzięczne łuki popłynęła na zrąb.

Noc kładzie swoje cienie; opary nad Czornym podnoszą się i pomału rozciągają się białym całunem. Wtem w przeciwległym lesie usłyszałem ryk dobrze mi już znany. Już jest na zrębie; ryknął parę razy, i znów już niedaleko mnie się odezwał. Słyszę na zrębie trzask gałęzi i złomów pod nim. Patrzę przez binokle — widzę go wreszcie. Widzę jego wyniosłą postać, jak stoi i ryczy. Odkładam binokle, biorę sztuciec do ręki, już krzyża w lunecie nie widać wyraźnie. Odległość znaczna, strzał ryzykowny, a więc do jutra! Złażę pocichu z czatowni i kieruję się w ciemny bór na ścieżkę. Nie śmię zapalić latarki, więc uszedłszy ze 150 kroków, gubię naturalnie ścieżkę, włażę w jakieś złomy i zaczynam niemiłosiernie łamać się. Słyszę, jeleń coraz bliżej, już ryczy pod czatownią, już uchodzi w las ciemny za mną. Widocznie łamanie wziął za rywala jakiegoś, który śmiał wleźć na jego terytorjum. Nie chcąc go płoszyć, siadam pod niebotyczną jodłą i czekam, co nastąpi. Jeleń, jakby się wściekł, coraz bliżej podchodzi do mnie, ryczy i rozbija rogami krzaki i złomy. Ciemno dokoła, bo choć księżyc wzniósł się już wysoko i srebrzystemi smugami znaczył wszystkie polanki i wciskał się, gdzie tylko mógł, lecz nie mogę mieć nadziei ujrzenia mego koncertanta. Jest odemnie nie dalej, jak kilkadziesiąt kroków. Jak dwa karbunkuły świeciły w ciemności jego ślepie, obchodzi mnie półkolem i ryczy. Po długiej chwili tego koncertu, skorzystawszy z tego, że się trochę oddalił i ujrzawszy

w oddali świetlaną smugę, w której spodziewałem się ścieżki, zacząłem się ku niej podkradać. Wreszcie trzask łamanych gałęzi podemną ustał, jestem na smudze, jest i ścieżka. Ostrożnie skierowałem się nią, po paru krokach zapaliłem latarkę i późno już wróciłem. A jeleń mój wrócił na zrąb i dalej grzmiał pełen zadowolenia i syt chwały, że takiego tchórzliwego rywala pozbył się w tak łatwy sposób. Noc jeszcze była zupełna, gdy budzik mój zaczął trajkotać. W pierwszej chwili chciałem go pod poduszkę schować, myśląc w półśnie, żem jeszcze w szkołach, i że czas wstawać i iść do »sztuby«. Dopiero wejście leśnego Knopfa, który raportuje od progu, że aż tutaj pod domem słychać, jak jeleń na 18-ce ryczy, wyrwało mnie ze snu. A więc ta szkoła — to sen! To już dawno było!

Ubrać się i wypić gorącą herbatę było dziełem jednej chwili. Jestem znów pod buczyną. Włażę na czatownię i mówię do leśnego, że siedzieć tu będę do rana późnego. Niech sobie jeleń ryczy na zrębie, ile mu się podoba, a ja tu siedzieć będę, bo on tędy przejść musi. Nie uważając na żadne perswazje leśnego i dawszy mu dokładne instrukcje, jak ma postąpić, a mianowicie: podkraść się cichutko pod zrąb od granicy, być tylko straszakiem, by czasem jeleniowi nie przyszła fantazja pójścia w bok, usadowiłem się wygodnie i czekam. Mam przed soba otwartą przestrzeń, potem gąszczyk, a dopiero za tem zrąb N. 18, gdzie mój byk się znajduje. Póki ciemno, słyszę go doskonale, później coraz słabiej i mam wrażenie, że poszedł w górę ku dalszym zrębom. Siedzę wytrwale do 6-ej. Lecz i cierpliwość ma swoje granice, schodzę zły, że znów ranek stracony i idę dość prędko ku zrębowi. Za chwilę podkradłem się już pod sam zrąb i oglądam się za Knopfem, któremu kazałem w tem miejscu stać na obserwacji i nigdzie go nie widzę.

Na zrębie cicho. Słońce już wysoko. Na każdem źdźble trawy szkli się perełka rosy i tęczowe barwy rozściela wkoło siebie. Rozglądam się i widzę przed sobą Knopfa rozciągniętego na linji i przeraźliwemi minami wskazującego mi zrąb. W jednej chwili bez pytania i ja znajduję się w podobnej pozycji i kieruję szkła w tym kierunku. Jakby na zamówienie odzywa się mój byk, ryczy, a ja go nie widzę. Wreszcie z mimiki Knopfa domyślam się, że byk leży na zrębie w trawach i ryczy. Powoli podnoszę się i widzę teraz jelenia, który również wstał i ku mnie idzie. Widzę doskonale jakiś potężny wieniec, świecą mi z jednej strony cztery białe końce, z drugiej widzę coś więcej. Nie czas już na binokle, biorę sztuciec do ręki. Byk ciągle rycząc idzie ku mnie, a ciemny wieniec chwieje się wśród traw. Wreszcie skręca ku gąszczykom. Ostatnia chwila do strzału. Odległość znaczna; jeszcze jeden rzut oka na lunetę, sztuciec, czy wszystko w porządku i strzelam, mierząc dokładnie w przód. Po strzale, jak gdyby z procy wyjeżdżają nie widziane przedtem dwie łanie, które stały w dole koło Czornego, a za niemi byk. Widzę, że trafiony. Strzelam drugi raz, byk idzie już stępa, strzelam trzeci raz, wreszcie pod samym gąszczykiem czwarty raz. Na to widzę jeleń się zatrzymuje i zwolna kładzie się. Widzę go przez szkło, jak leży i łbem rusza. Godzina $6^1/_2$ rano. Posyłam leśnego po ludzi, a sam zostaję; od czasu do czasu kontroluję przez binokle, czy mój jeleń jest na miejscu. Wreszcie odchodzę jeszcze kilkadziesiąt kroków i włażę na znajdującą się tam czatownię. W tem, czy mnie wzrok nie myli? widzę jelenia wstającego i wolno idącego w gąszcza. Nałożyć zdjętą lunetę, nastawić ją na 400 kroków, było dziełem jednej sekundy i do znikającego mi jelenia palę z góry na dół w tył pod krzyże raz jeszcze. Po strzale już nic nie widziałem. Czemprędzej schodzę i wraz z leśnymi, którzy już nadbiegli, otaczam gąszczyk, w tej nadziei, że jeleń jeszcze nie przeszedł. A obca granica tuż, może o 150 kroków dalej. Poczekawszy jeszcze z godzinę, idę na miejsce strzału. Odrazu obfita barwa na trawach. Dalej coraz więcej, a w miejscu, gdzie leżał kałuża krwi, wreszcie gąszczyk ten i od ostatniego strzału o 20 kroków może — leży, żywy jeszcze i usiłujący wstać. Strzał za ucho położył kres jego cierpieniom. O radości! Leży przedemną martwy już ten królewski zwierz, dając mi wieniec silny nierównego osiemnastaka o 115 cm, długości i rozpiętości 100 cm. Rogi śliczne — pierwszej klasy.

Żegnaj wszechwładny nad Czornym!

Odległość pierwszego strzału przeszło 300 kroków, ostatniego 400 kroków. Strzelony z Manlichera Rumuna 6 mm. Jedna kula w płucach, dwie w brzuchu, ostatnia z tyłu, pod krzyżami.

Następnego dnia zabiłem wieczorem po ciemku wierutnego gałgana, ale to przez pomyłkę, za którą się wstydzę.

Dalszy czas poświęciłem gościom moim i im oddałem do dyspozycji rewiry z lepszymi leleniami. Sam jeszcze miałem spotkanie z niezłym jeleniem, ale gościnność nie pozwoliła mi strzelić, a szkoda, bo uszedł i został cały.

Dnia 29. września jelenie przestały ryczeć, przynosząc mi tem bardzo niemiłą niespodziankę, a tembardziej spóźnionym gościom moim. Jeden z nich miał jednego ranka dobrego bardzo jelenia, lecz do strzału przyjść nie mógł, na drugi dzień strzelał do drugiego i silnie go zranił. Pomimo usilnych poszukiwań, dotąd go nie znaleziono. I gość ten mój pecha jeleniowego nie przełamał. Kończę na tem tegoroczne sprawozdanie, żałując tylko, że już przeszło to cudne wspomnienie. *A. K.*

Łysiec — listopad 1910 r.



PIERWSZY JELEŃ.

Myśliwym, co szli w góry po myśliwskie złote runo, by zdobyć gałązkę jedliny, wśród złota i purpury pięknych dni jesiennych, przyznaję ze skruchą, nieraz zazdrościłem.

Brak czasu jednak, znaczne oddalenie od królewskich, purpurowych namiotów, przez przyrodę uwitych, brak sposobności, oto przeszkody, o które rozbijały się pragnienia i prośby do św. Huberta zanoszone, by i mnie śmiertelnikowi zwykłemu przypadły bodaj okruchy z królewskiej biesiady, przez jesień cudowną zastawionej, biesiady, dla wielu tak mało dostępnej.

Tak zwane »szczęście« służyło mi dotąd, darzyło nieraz niezwykłą myśliwską zdobyczą, lecz we własnem prze-

świadczeniu czegoś mi nie dostawało i brakło do tej pełni myśliwskiego użycia.

Wsłuchać się w potężną pieśń miłości, wśród ciszy jesiennej, przerywanej szelestem opadających i wiatrem trącanych liści, zobaczyć na tle tej bajecznie kolorowej szaty jesiennej... łanie i wyczekiwać z zapartym oddechem i bijącem sercem, kiedy okaże się »on«, co całej tej przyrodzie nadaje tak potężne, »jak źródło krwi żywe« tętno życia, oto co wyobraźnia swą ponętną barwą malowała mi jako rozkosz, jako szczyt pewnego rodzaju myśliwskiej kultury, przez tę pełnię myśliwskiego użycia.

Marzenie niespodzianie ziściło się.

Z końcem września b. r., dzięki p. S..... i wraz z nim, otrzymałem zaproszenie na rykowisko, do odległych o 3 mile od Żurawna Balicz, gdzie jelenie stale od 7 lat przebywają, a wedle relacji leśnej służby, od tygodnia miały się dobrze odzywać.

W poniedziałek, dnia 26. września, o 3. popołudniu, byliśmy już w lesie Balickim, obszaru około 3000 morgów, graniczącym z kameralnymi lasami w Turzy i Bołochowie, zajmującym lekko pochyłe, ku południu ciągnące się wzgórza, poprzecinane licznemi debrami i wykrotami. U kresu kolejki, do wywozu drzewa przeznaczonej, prowadzącej wąwozem blisko 3 kilom. w głąb lasu, rozdzieliliśmy się.

Mój towarzysz p. S.. miał szukać za złomkiem jedliny w rewirze zw. »Działy« od Turzy, ja w rewirze »Morozowej« po prawej stronie toru kolejki.

Drożyną, dzielącą zrąb i gruby bukowy las, puściliśmy się z gajowym, by po półgodzinnym pochodzie przystanąć na granicy zrębu, z widokiem na małą polanę, u stóp olbrzymiego wywrotu, którego korzenie w owych fantastycznych, dziwacznych splotach, przybierały kształty ramion jakiejś potwornej morskiej mątwy. Wedle zapewnień gajowego, tym przesmykiem z górnego zrębu przechodzi silny czternastak, tutaj widziano kilkakrotnie cały fraucymer królewski, z kilku łań złożony, a z niemi dwa jelenie; wieńców ich nie można rozpoznać. — Ciszę przerywa opadający od czasu do czasu liść, ostry gwizd kosa, wabienie się jarząbków, których tu moc. Wsłuchany w tę ciszę, żądny przerwania jej tym odgłosem ryku, o którym tyle słyszałem, wpatrzony w odcinające się na tle szkarłatu buków, błyszczących złotem liści klonu i matowo żółtych liści grabu — w ciemnozielone plamy, jakie tu i ówdzie tworzą dęby samotniki, lub większe grupki jodeł, chciałbym przebić wzrokiem zrębu gęstwinę, by ujrzeć nareszcie te białe końce, widziane dotąd jedynie na ścianach i »Łowca« okładce. Pragnienia moje nie tak prędko ziścić się miały.

Strasząc urwanem »be... be«, wychodzi na 7 kroków kapitalny rogacz, a spostrzegłszy podejrzane postacie, zniża głowę, jakby pochwalić się chciał uperlonymi ładnie różkami, wybija przez chwilę hołubca, by skoczyć w bok, a zawróciwszy jeszcze raz w groźnem i zdwojonem be, be, schować się w gąszczu. O zmroku zjeżdżamy wraz z p. S. kolejką, niezwykłym, samopędnym pojazdem, niby samochodem bez benzyny. Przed 3-cią w nocy jesteśmy w lesie; a zaledwie zanurzamy się w głębie leśne, dochodzi nas z prawej strony przeciągły, nieustanny ryk z niewielkiej odległości. Zdawało się, że to ryczy jeden jeleń, p. S. twierdzi, że ryczą trzy, a wśród nich jeden bardzo poważny. Ryczą na »Morozowej«. Słuchamy dłuższy czas, a wśród tej ciszy, nieprzerywanej świergotem ptactwa, wśród której tylko szmer trącanych wiatrem liści, stwarza niby tło, niby wtór tej pieśni miłości — zdaje się, że cały las żyje, przemawia. Wielkie to robi wrażenie! Spojone, związane to wszystko ogniwem przyrody, wytwarza swem tętnem życia przedziwną harmonię.

Idziemy dalej, p. S. ku »Działom«, ja na »Morozową«, z zapartym oddechem.

Wiatr południowo-wschodni, dla mnie bardzo niedobry; od północy gąszcz nie do przebycia, brak ścieżek i linji; muszę iść drożyną między zrębem a starym lasem; chciałbym jelenie obejść i dostać się na polanę. Próbuję podchodzenia starym lasem, trzeszczące gałązki, wywroty i wiatrołomy, nie dają przejść. Jestem tak blizko, że dochodzi mnie ostry zapach, słyszę łomot i szelest rozsuwanych gałęzi; ale jelenie ciągle przedemną. Zamiar obejścia ich, by mieć je po lewej stronie, po tej, z której wiatr wieje, nie udaje się.

Wobec trzeszczących gałązek posuwam się naprzód wtedy tylko, kiedy ryczą, niestety obejść ich nie mogę i ciągle są przedemną.

Z chwilą, gdy się dobrze rozwidnia i przed wschodem różowa jutrznia pada na ścianę grubego lasu, dochodzę do nieznanej mi dotąd polany wśród zrębu położonej, a wydeptane w wysokiej trawie ścieżki i legowiska w zrębie, świadczą, że tutaj jest jeden z głównych przesmyków; tędy przed chwilą przechodziły, wśród zroszonych i szronem okrytych traw odcinają się ciemne smugi wydeptanych przez nie ścieżek. Ryk dochodzi mnie już z dalszego rewiru za potokiem; idę z gajowym na linję. I tu zawód; ryk z gęstego zrębu po drugiej stronie linji zwiastuje, że przeszły i obejść się nie dadzą; za linją gąszcz i brak ścieżek. Około godziny 7-ej wracam do kolejki z tem uczuciem, że w podchodzeniu kapitalnie zbłądziłem, że bez względu na drogę, potrzeba było obejść las i linję »za potokiem« z przeciwnej strony podchodzić. Przy kolejce słyszę dwa z rzadka porykujące jelenie w »Działach«, wkrótce słyszę także w tej stronie strzał. Wyczekiwany z niecierpliwością towarzysz p. S. nadchodzi przed 9-tą, a zatknięty złomek jedliny świadczy o szczęśliwem spotkaniu.

Po dwóch godzinach widzimy i zdobycz, dwunastaka, strzelonego z Mannlichera kal. 7, (?) na odległość 400 kroków, wysoko w przednią łopatkę. Kula ugrzęzła po przebiciu płuc po drugiej stronie. Jeleń po strzale zaległ w wykrocie, w oddaleniu około 300 kroków, gdzie po godzinie, z pomocą psa, p. S. go odszukał. Ze zdobyczą zjeżdżamy, względnie zlatujemy samopędną kolejką prawie przed wrota dworu Balickiego, by zsiadłszy, podzielić się wrażeniami z PP. Gospodarstwem i wśród ciepłej, serdecznej atmosfery, dzięki Ich uprzejmości i gościnności, spędzić mile parę godzin.

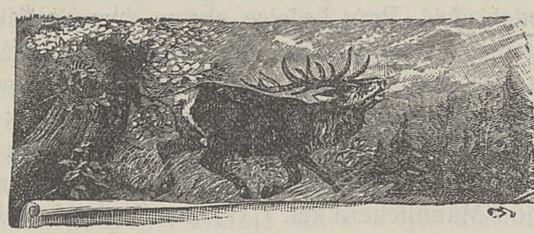
O 3-ej z gajowym i strzelcem p. S., idę dzięki spostrzeżeniom, rano zrobionym, wprost na polanę, chowając się pod ścianę grubego lasu. Z prawej strony, w odległości 150 m., zwarta gąszcz zrębu. Po godzinie 4. słyszę łomot w zrębie. Z gąszczu wychodzą dwie łanie i zwolna na kulawy sztych posuwają się ku mnie. Nadchodzi chwila, która na zawsze zostanie w pamięci; serce bije jak młotem; wpatrzony w jeden punkt, widzę jak powoli rozsuwają się krzaki. Ukazuje się uwieńczona głowa. Jeleń chwilę przystaje, jakby ocierał łbem o krzaki, wstrząsa nim, po chwili wychodzi na polanę. W oczach mi się dwoi, końców nie jestem w stanie zrachować; zdaje mi się, że dziesiątak; wszelkie jednak rozumowania zaciera jedno uczucie i wrażenie, że mam po raz pierwszy w życiu jelenia przed sobą. Z chwilą, kiedy na odległość około 120 kroków ściągam cyngiel mego trzylufka, przychodzi, ale niestety za późno refleksja, że w tem towarzystwie musi być jeszcze jeden silniejszy jeleń,

a wzięty na cel jest tylko przyciołkiem. Równocześnie ze strzałem słyszę łomot po prawej stronie w zrębie, a strzelec widzi tył niknącego w zrębie jelenia. Strzelony zaś, jakby się skurczył, idzie jeszcze, ale z trudem, a po chwili słyszę łomot, jakby upadającego cielska. Na odgłos strzału podchodzi do nas p. S. i nie wyczekując wobec zmroku godziny odszukujemy jelenia w oddaleniu 50 m. od strzału. Jeleń ósmak z wieńcem otartym, od roku niezrzucanym, strzelony w przednią łopatkę, kulą ściętą Cal. 9·3. Kula po przebiciu płuc utkwiła po prawej stronie.

Towarzysz mój, p. S., trochę sobie dworuje ze mnie, przyznaje jednak, że polując po raz pierwszy na rykowisku po jedenastu podchodach ubił o wiele gorszego ósmaka. Ja znowu pocieszam się tem, że byłby pewnie dziesiątakiem, gdyby był z. r. zrzucił wieniec, a zarazem doświadczeniem, iż drugi raz nie dam się już wziąć przyciołkowi.

Korzystając z uprzejmego pozwolenia WPP. Gospodarstwa, podchodzimy jeszcze w nocy z wtorku na środę ryczące jelenie, p. S, szesnastaka, a ja czternastaka, którego widziałem, gdy się rozwidniło w oddaleniu 300 kroków; nieostrożne stąpnięcie gajowego płoszy jednak całe towarzystwo, które niknie w gąszczu.

P. S. widział przez szkła głowę jelenia z wieńcem o 8 końcach, jednak w takiej odległości, że nie mógł się na strzał odważyć nawet z Mannlichera Schönauera. O godz. 9. rano pożegnaliśmy czule rewir, któremu w krótkim stosunkowo czasie zawdzięczamy tyle miłych chwil, wrażeń i wspaniałą myśliwską rozrywkę i zdobycz, a za to wszystko składamy obaj jeszcze raz WPP. Gospodarstwu serdeczną podziękę. *S. O.*



Korespondencje.

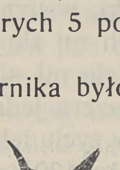
Uherce zapłatyńskie, dnia 6. listopada 1910.

Niema dotąd w korespondencjach »Łowca« wzmianki o słonkach, pomimo, że było ich tej jesieni bardzo wiele i bawiły u nas niezwykle długo. Chyba, że może przez nasze strony wypadł główniejszy szlak słonczy i u nas było tych pięknych ptaków mnóstwo, gdy gdzieindziej mało.

Przypuszczenie to opieram na tem, że dopiero od trzech lat można się u nas nastrzelać do słonek na ciągach wiosennych, a zwłaszcza jesiennym i przed psem nietrudno słonkę — usłyszeć wstającą za krzakiem liściastym.

Ogółem zabiliśmy od 26. września do końca października 50 słonek na ciągu i kilku polowaniach z pogonką w 3—5 strzelb w krótkich godzinach popołudniowych. Piękny rekord osiągnął dr. A. R. strzelając dnia 15. paźdz. na ciągu do 6 słonek, z których 5 podniósł. Razem zabiliśmy tego dnia 15.

W połowie października było słonek najwięcej.



Mosty wielkie, 5. listopada 1910.

Niezwykle łagodna zima ubiegła i suche stosunkowo lato, wpłynęły nadzwyczaj dodatnio na rozwój zwierzostanu. Kuropatw było wiele i przeważnie bardzo wczesne; już w pierwszych dniach sierpnia widywałem kompletnie lotne, wielkie stada.

Zajęcy także na ogół stan znacznie się poprawił; rogacze odznaczały się wyjątkowo ładnymi rogami.

Ciąg słonek wcześnie się bardzo rozpoczął i trwał stosunkowo bardzo długo — ostatnią zabiłem 28-go października.

Poniżej podaję rezultat polowań jesiennych, w których danem mi było uczestniczyć.

1-go października, u pana Tadeusza Starzyńskiego w Derewni, padło w 4 strzelby: 6 bażantów, 7 kuropatw i 23 zające. Bażanty tego roku na wiosnę sprowadzone, doskonale się zaaklimatyzowały, widzieliśmy ich bardzo wiele, a małą stosunkowo ilość zabitych kogutów przypisać trzeba złemu oświetleniu i niewypierzeniu młodych kogutów. Najdziwniejszem zjawiskiem, to brak zupełny lisów, które w okolicy tutejszej mało kto tępi, — niemała to więc zasługa straży łowieckiej w Derewni.

8-go października polowała w 9 strzelb spółka myśliwska w Wolicy Komarowej pod Sokalem. Rozkład 3 słonki, 1 rogacz, 5 lisów i 11 zajęcy. Ciepły, słoneczny dzień wywabił zające w pole i tem się ich mała ilość tłumaczy.

19-go października, u księcia Janusza Radziwiłła w Tyczynie w strzelb 8. Zaczęliśmy polować w lesie, lecz wobec małej stosunkowo ilości zajęcy, które liść opadający widocznie niepokoił, przenieśliśmy się na pola. Rozkład: 1 lis, 4 kuropatwy i 85 zajęcy. Wzięliśmy tylko 2 polne mioty, o 3-ej po południu już się polowanie skończyło.

29-go października polowaliśmy u pana Adama Łastowieckiego w Lipniku. Strzelb 11. Rozkład: 1 rogacz, 8 lisów i 23 zające. Zające i tu także, skutkiem opadającego liścia nie dopisały.

Oprócz tego brałem udział, dzięki zaproszeniu księcia Franciszka Radziwiłła, w 3-dniowem polowaniu w Vöttau, na Morawach. Tam, rok ten skutkiem mokrego bardzo lata mniej był, niż u nas dla zwierzyny sprzyjający, to też dużo bardzo zajęcy wyginęło na motylicę. W czasie samego polowania kilku takich nieboszczyków spotkałem. Pomimo to rezultat tego małego improwizowanego polowania w 3 strzelby był w porównaniu z naszymi stosunkami doskonały, padło bowiem dwieście kilkadziesiąt sztuk zajęcy, parę bażantów i kuropatw, kilka królików i 2 słonki. Dokładnej cyfry podać nie mogę, gdyż musiałem ostatniego dnia w południe wyjechać. Polowania tamtejsze są i forsowne bardzo i strzelanie trudne, myśliwi idą bowiem ciągle ławą razem z nagonką, bez względu na to, czy się poluje w kulturach, czy w młodych zagajnikach, czy też w lesie wysokim, gęstą, pożółkłą trawą zarośniętym. Przytem teren bardzo górzysty, (na pociechę zapewniał mię gospodarz, że byłem na najwyższym nawet szczycie na Morawach).

Miłe początki — koniec żałośny! Refleksja ta na myśl mi przyszła, gdy z pięknych kniei morawskich w okolicę tutejszą wróciłem. Myśliwych dbających o podniesienie zwierzostanu na palcach jednej ręki policzyć tu można, za to amatorów czombra co nie miara.

Nic też dziwnego, że pomimo sprzyjających warunków zwierzyny co raz to mniej, a polowań mimo to coraz więcej. W tym samym rewirze polują po kolei podatki, inspektor lasowy, potem inni dygnitarze rządowi i autono-

miczni. Dalej idzie polowanie przedświąteczne, potem karnawałowe i tak dalej, dokąd ostatni zajączek życia nie odda. Oprócz tego poluje się jeszcze naturalnie na »upatrzonego« i na »pomykacza«. To też nic dziwnego, że sąsiedzi o zwierzynę dbali, nocami całemi na granicach ognie palą, by w ten sposób sarny bez różnicy płci od niechybnej śmierci uchronić.

O rezultacie tych łowów dowiedzieć się trudno bardzo, gdyż nemrodzi ostrożni są wobec delegata, który o zabitych kozach ma zwyczaj starostwu donosić.

W. O.

Sprawy Towarzystwa.

W poczet członków Galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego wpisali się za sprawą naszego niestrudzonego delegata p. D-ra Karola Mátyása, pp.:

Bajda Józef
Ines Mieczysław
Jarema Bronisław
Lorenz Józef.

Poza tem wpisał się p.

Wohlfahrt Juliusz.

Ze sprawozdania naszego delegata, p. Gürtlera, które pomieścimy w całości w następnym numerze, wynika, że w powiecie zaleszczyckim nastąpiło zorganizowanie się delegatów.

Kąt północno-zachodni powiatu, po rzekę Dżuryn, wzięli w opiekę pp. Głażewski Adam i Franciszek baron Heydel. Pas środkowy powiatu po Torskie, na południe i po Tłuste na wschodzie, p. Jełowicki Aleksander; gminy położone nad Dniestrem w najbliższem otoczeniu Zaleszczyk, po rzekę Seret na wschodzie, p. Turnau August, wreszcie wschodnią część powiatu po lewym brzegu Seretu do granic powiatu borszczowskiego, p. Gürtler Władysław.

Wydział Towarzystwa.

Odpowiedzi Redakcji.

WP. H. G. w Przemyślu. Wszystkie władze interpretują § 81 u. ł. w ten sposób co i starostwo przemyskie, § ten bowiem mówi wyraźnie o roku kalendarzowym b. r. od 1. stycznia do 31. grudnia, na inne terminy roczne kart więc nie wydają.

DROBNE OGŁOSZENIA I INSERATY.

Okazyjnie do nabycia mało używana, pierwszej jakości, znakomicie ostrzelana dubeltówka angielska, systemu **Lancastra** (kurkowa), cal. 12. firmy **„Geo, H. Daw. 57. Threadneedie Street London“.** Lufy »Crolé« (cylindryczne). Zamknięcie: »Patent Selp. Loking. Vertical Grip«.
Oglądać można w Redakcji »Łowca», ul. Jagiellońska 3 od godz. 11—1, **a próbować tylko we Lwowie.**

Leśnik z kilkunastoletnią praktyką, z ukończoną szkołą dla leśniczych, z egzaminem państwowym, poszukuje posady. Zgłoszenia pod **E. O. Kraków, ul. Wolska l. 18, III. piętro.**

Bardzo rasowe szczenięta legawe
z wspaniałym rodowodem, po znakomitym, wielokrotnie premjowanym szampionie Trumpf v. Wörlitz, psy najlepsze jakie istnieją; także zupełnie ułożone i niezawodne wyżły, oraz drób rasowy, tanio do nabycia
w „Wild- und Geflügelpark“ Bruck an der Leitha.
Uprasza się o markę w zapytaniach listowych.

Szkółka drzewek Juliana bar. Brunickiego, Podhorce k. Stryja, może dostarczyć kilkaset kg. bulw **heliantusa prawdziwego** (*Heliantus doronicoides*) po **K. 5 za 100 bulw. Przy większym odbiorze odpowiedni rabat.**

Legawiec pointer dobrze ułożony, automat Sjögrena, śrutowy, 5 strzałowy, nowy i 4 strzelby Lancastra, sprzedam tanio. **Wiadomość fach 64. Lwów.**

Poszukuję dobrze ułożonych psów, specjalnie do polowania na dziki. Zgłoszenia przyjmuje Aleksander Jełowicki, Szutromińce,

Kupię psa jamnika, pewnego, na lisy. Zgłoszenia przyjmuje folwark **Gnojnice, p. Krakowiec.**

Żywe zające i bażanty sprzedaje Zarząd dóbr Winnogóra p. Miłosław, W. Ks. Poznańskie. Zgłoszenia przyjmuje **Henryk Mańkowski, Kraków, Wolska 36.**

Handel założony w roku 1789.

JEDYNY NAJSTARSZY HANDEL
HERBATY, KAWY
FABRYKA ŚWIEC WOSKOWYCH
Fryderyka Schubutha i Sp.
WE LWOWIE

poleca: herbaty chińskie czarne aromatyczne, silnie naciągające.

Congo	Nr. 0	pół kg.	K. 3·20
„	„ 1	„	„ 3·80
Souchong . . .	„ 2	„	„ 4·60
„ zbioru majowego		„	„ 6·—
Caysow najprzedn.		„	„ 8·—

Znakomite okruchy herbat
pół kg. K. 3·—, 3·60 i 4·60.

UWAGA. Z powodu naśladowania opakowań naszych herbat, zarejestrowaliśmy „Markę ochronną“ i takowe tylko z tym znakiem sprzedajemy. Wszystkie gatunki herbat pakujemy po 1/2, 1/4 i 1/8 kg.

Przy wysyłkach na prowincyę opakowania nie liczymy.

Prosimy żądać:
„Herbaty z Chińczykiem“.

Najlepsze gatunki, aromatyczne, znakomite w smaku **KAWY**

Woreczki Netto		3/4 kg.,	1/2 kg.
Gwatemala . .	Nr. 6	K. 11·40	K. 1·20
„ . .	„ 5	„ 14·25	„ 1·40
Ceylon dobra .	„ 4	„ 19·—	„ 2·—
„ gruba .	„ 3	„ 19·76	„ 2·06
„ przednia	„ 2	„ 20·52	„ 2·16

Woreczki Netto		3/4 kg.,	1/2 kg.
Ceylon najprzedniejsza . . .	Nr. 1	K. 21·28	K. 2·24
Ceylon perłowa . .	„	20·52	„ 2·16
Złota Jawa	„	20·52	„ 2·16
Mocca arabska . .	„	20·52	„ 2·16

MASA Własnego wyrobu, najpiękniejsza i najlepsza nagrodzona medalami zasługi
kauczukowa do zapuszczania podłóg w pięciu odcieniach.

Nr. 0 bezbarwna, Nr. 1 jasno-żółta, Nr. 2 jesionowa. Nr. 3 orzechowa, Nr. 4 mahoniowa. || Pudełko wystarczające na duży pokój 2 korony.

Henryk Bogdanowicz

C. k. uprzyw.

FABRYKA KLOZETÓW

założona w r. 1885.

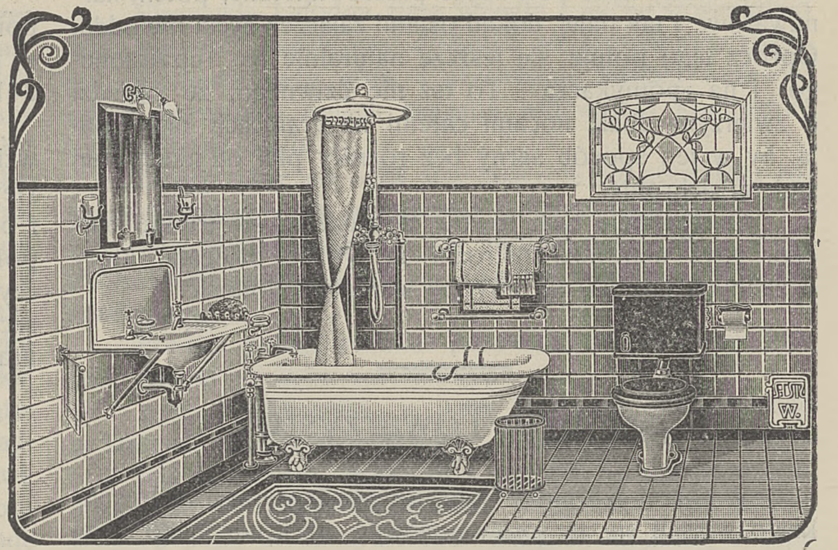
Koncesjonowany Zakład instalacyjny dla wodociągów.

Biuro, skład i fabryka we własnej realności we Lwowie, ulica Piekarska 13. Telefon 388.

Lejarnia z metalu i cynku przedmiotów artystycznych, figur religijnych, pomników pamiątkowych, ornamentów, alegorji do aquaryj i wodotrysków, liter, tablic itp.

Zakład blacharstwa, robót metalowych itp., łazienek, parówek, lodowni pokojowych, krzyżów, pomników, wieńców, latarń grobowych, ulicznych i klatek schodowych; zwykłych i sztukateryjnych pokryć dachów.

Z każdego działu wyrobów, na żądanie wysyła się cenniki gratis.



ELEKTRYCZNE

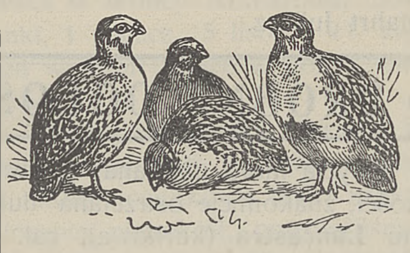
ŚWIATŁO — SIŁĘ — SYGNALIZACJĘ etc. — URZĄDZAJĄ

Sokolnicki & Wiśniewski

FABRYKA ELEKTROTECHNICZNA I ZAKŁAD INSTALACYJNY.

LWÓW, Słowackiego 18. Tel. 665.
KRAKÓW, Bracka 8. Tel. 1206.

ŻYWĄ ZWIERZYNĘ



Do strzału: koguty, bażancie, zające samce, dzikie króliki.

Do rozmnoży i odświeżenia krwi: zające, kuropatwy, bażanty, głuszce, cietrzewie, sarny, daniele, jelenie etc.

jak najtaniej dostarcza już teraz

F. HORAČEK

największy dom eksportowy dziczyzny na kontynencie w Martinitz-Starkenbach Czechy.

JUBILER

JAN JARZYNA

poleca **wyroby złote i srebrne.**

Wybór znaczny. Ceny umiarkowane.

Lwów, hotel europejski, pl. Maryacki l. 4.

Złoty medal, wystawa kościelna Lwów 1909. Najwyższe nagrody (Grand Prix) na wystawach międzynar. we Lwowie, Paryżu, Antwerpii i Rzymie.

Eugeniusz Maryan Unger

rytownik (Graveur) oraz pracownia pieczęci metalowych i kauczukowych, dostawca c. k. Namiestnictwa i innych urzędów

Lwów, ulica Akademicka l. 8.

Wykonuje: Pieczęcie, numeratory, maszynki z datami, dla Urzędów, Towarzystw, Instytucji prywatnych i urzędowych. — Tablice orjentacyjne i emaljowane. — Monogramy, herby na drogich kamieniach, napisy rytowane i cyzelowane ze złota i srebra na zegarki, laski, adresy, teki, dyplomy honorowe itp. Skład farb do pieczęci i poduszek z niewysychającą farbą. — Odznaki dla straży polowej, rybackiej, leśnej itp. — Guziki liberyjne, monogramy, herby i klamry do pasów dla służby. Toporki i znaki do cechowania. — Pierwsza w kraju prasa pędzona motorem elektrycznym, wykonuje medale wystawowe, medale pamiątkowe, medaliki religijne, odznaki wszelkiego rodzaju, tłoczone tablice orjentacyjne na domy, ulice itp.

Kupuję wszelkiego rodzaju zwierzynę, w czasie ust. łowiec. dozwolonym:

zajęcy	sztuka	K.	2·50
rogacze	klgr.	„	1·—
dziki warchlaki do 35 klgr.		„	—·70
dziki warchlaki od 35 do 50 klgr.		„	—·60
dziki średnie od 50 do 70 klgr.		„	—·50
dziki duże od 70 klgr. wyżej		„	—·40
bażanty	sztuka	„	2·60
słonki	„	„	2·—
jarząbki	„	„	2·—
kuropatwy	„	„	1·40
kaczki krzyżówki	„	„	1·40
kaczki cyranki	„	„	1·—

Powyższą cenę płacę loco, przy najbliższej stacji polowania.

MICHAŁ KRZYWDA

pasaż Androlliego Rynek 20.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. — Redaktor odpowiedzialny: **Albert Mniszek.**